

Maurice Leblanc.

## TAJEMNICZE DOKUMENTY.

5

(Ciąg dalszy).

— Tego nie wiem, jak i tego również, w którym pokoju zbrodnia została spełniona; i tego także nie odgaduję, jakim, prawdziwie cudownym sposobem, winny zdołał uciec.

— Mówiono o dwóch niebieskich karteczkach.

— Tak — jedną znaleziono w szkatułce, którą Lupin odesłał, drugą ja znalazłem, a pochodzi ona prawdopodobnie z safirowej koperty, którą morderca ukradł.

— No i cóż?

— Podług mnie one same nic nie znaczą. Znaczą zaś coś cyfra, którą na obu pan Kesselbach wypisał... poznano jego pismo.

— I cóż znaczy ta cyfra 813?

— To tajemnica. Muszę jeszcze raz odpowiedzieć, że ostatecznie nic nie wiem.

— Nie domyślasz się pan czego?

— Niczego. Dwóch moich ludzi mieszka w Palace-Hotel, w jednym z pokoi na tem samym piętrze, na którym znaleziono zwłoki Chapmana. Przez nich mam nadzór nad wszystkimi mieszkańcami hotelu. Winny nie znajduje się w liczbie tych, którzy opuścili hotel.

— Zdaje się, że telefonowano w czasie spełnienia zbrodni?

— Tak jest. Ktoś z miasta telefonował do majora Parbury; jest to jedna z czterech osób, które mieszkają od korytarza pierwszego piętra.

— No, a ten major?

— Badałem go i kazałem moim ludziom mieć go na oku; dotychczas nic nie mówi przeciw niemu.

— I w którym kierunku robisz pan poszukiwania?

— O! w bardzo określonym. Mojem zdaniem morderca należy do przyjaciół albo znajomych państwa Kesselbachów. Szedł za ich śladem, znał ich zwyczaje, znał cel pobytu pana Kesselbacha w Paryżu i co najmniej domyślał się ważności jego planów.

— Więc nie byłby to zbrodniarz zawodowy, sądzisz pan?

— Nie! nie! po tysiąc razy nie. Zbrodnię spełniono niesłychanie zręcznie i zuchwale, ale wynika ona z okoliczności. Powtarzam, w otoczeniu pana i pani Kesselbach należy szukać winnego. Dowodem tego, że morderca pana Kesselbacha zabił Gustawa Bedaunda jedynie dlatego, że ten chłopak posiadał papierosnicę, a Chapmana, ponieważ ten o niej coś wiedział. Proszę sobie przypomnieć wzruszenie Chapmana: słysząc tylko opis tej papierosnicy, Chapman domyślał się istoty dramatu. Gdyby ją mógł być zobaczyć, byłby nas objaśnił. Nieznajomy to zrozumiał. A my nie wiemy nic, nic — znamy tylko litery L i M.

Zastanowił się i dorzucił:

— Jeszcze jeden dowód, który niech będzie odpowiedzią na jedno z pańskich pytań, panie prezydencie. Czy pan myśli, że Chapman byłby poszedł za tym człowiekiem przez korytarz i schody, gdyby go nie był znał?

Gromadziły się fakty. Utwierdzała się prawda lub przynajmniej prawdopodobieństwo prawdy. Wiele jeszcze pozostawało ciemnego i zagadkowego, ale jakżeż wzmagало się światło. Brakło wprawdzie rozeznania motywów zbrodni, ale jakżeż jasno występował cały szereg czynów, spełnionych owego tragicznego ranka!

Zaległo milczenie. Wszyscy milczeli, szukając to argumentów, to zarzutów. Nareszcie Valenglay zawołał:

— Mój drogi panie Lenormand, wszystko doskonale... przekonałeś mnie pan... ale w gruncie rzeczy nie posunęliśmy się ani na krok.

— Jakto?

— Ależ naturalnie. Celem naszego zebrania się nie jest bynajmniej odcyfrowanie częściowo zagadki, którą ani wątpliwej, prędzej czy później, rozwiążesz pan całą sam — zebraliśmy się tu raczej po to, by urządzić, jak w możliwie najszerszej mierze zadośćuczynić wymaganiom publiczności. A przecież, czy mordercą jest Lupin, czy nie on, czy jest dwóch winnych, czy też trzech, to jednak nie daje nam to ani imienia winnego, ani jego osoby. Publiczność zaś odnosi to zgubne wrażenie, że sprawiedliwość jest bezsilna.

— I jakżeż ja temu mogę zaradzić?

— Otóż właśnie dać publiczności to zadośćuczynienie, którego się ona domaga.

— Ależ mnie się zdaje, że te wyjaśnienia same wystarczą już...

— To są słowa. Publiczność domaga się czynów. Jedno tylko może ją zadowolnić: aresztowanie...

— Proszę! proszę! Ależ przecież nie możemy aresztować pierwszego lepszego z brzęgu!

— Jużby to nawet było lepiej, aniżeli nie aresztować nikogo — roześmiał się pan Valenglay. — No dalej, niechże pan dobrze poszuka... Czy pan jest pewien Edwardsa, służącego Kesselbacha?

— Absolutnie... A zresztą nie, panie prezydencie, to byłoby niebezpiecznie... to byłoby śmiesznie... i przekonany jestem, że sam pan naczelny prokurator... Dwie są tylko osobistości, które mielibyśmy prawo aresztować. Morderca... nie znam go... i Arsen Lupin.

— Cóż z tego?

— Nie aresztuje się tak łatwo Arsena Lupin... a w każdym razie potrzeba na to czasu, całego szeregu zabiegów... których dotąd nie zdążyłem skombinować, ponieważ sądziłem, że Lupin się ustakował... albo, że nie żyje.

Valenglay tupnął nogą niecierpliwie, jak człowiek przywykły do tego, by życzenia jego spełniały się natychmiast.

— A jednak przecież... mój drogi panie Lenormand, potrzeba mi tego... i panu tego potrzeba także... Panu chyba wiadomo, że ma pan potężnych wrogów... i że, gdyby nie ja... Ostatecznie to jest niedopuszczalne, żebyś się pan w ten sposób usuwał w cień... A co pan myślisz o współnikach... Przecież tu nie sam jeden Lupin... Jesc przecież Marco... jest i ten drugi łotr, który odegrał rolę Kesselbacha i dostał się do piwnic *Credit Lyonnais*.

— Czy ten wystarczyłby panu, panie prezydencie?

— Czyby mi wystarczył! Ależ do licha, wyobrażam sobie!

— No, to niech mi pan da tydzień czasu.

— Tydzień! Ależ ja tutaj nie na dni liczę, kochany panie Lenormand, ale na godziny.

— Ileż mi pan zatem godzin daje, panie prezydencie?

Valenglay wyciągnął zegarek.

— Daję panu dziesięć minut, mój drogi panie. Szef bezpieczeństwa spojrzał na swój zegarek i spokojnym tonem wygłosił:

— O cztery za dużo, panie prezydencie.

## II.

Valenglay spojrzał nań zdumiony.

— O cztery za dużo? Jak pan to rozumiesz?

— Powtarzam, panie prezydencie, że nie potrzeba mi tych dziesięciu minut. Wystarczy mi sześć.

— Wypraszam sobie, panie Lenormand... ten niesmaczny żart.

Szef bezpieczeństwa zbliżył się do okna i dał znak dwom ludziom, którzy przechadzali się na podwórzu gmachu ministerium.

Powrócił na środek pokoju.

— Panie prokuratorze naczelny, zechciej pan łaskawie podpisać dekret aresztowania na imię Augusta Filipa Dailleron, wiek lat 47. Proszę nie wypełniać rubryki „zawód“.

Otworzył drzwi wchodowe.

— Możesz wejść Gourel... i ty, Diensy.

Wszedł Gourel w towarzystwie inspektora Diensy.

— Masz kajdanki Gourel?

— Są, panie szefie.

Pan Lenormand zbliżył się do p. Valenglay.

— Panie prezydencie, wszystko gotowe. Ale ja najusilniej pana proszę, niech pan zrezygnuje z tego aresztowania. Krzyżuje ono wszystkie moje zamiary; przez to mogą się nie udać, a dla drobnej ostatecznie korzyści, to aresztowanie naraża wszystko.

— Panie Lenormand, zwracam panu uwagę, że masz pan już tylko czterdzieści sekund czasu.

Szef powstrzymał gest rozdrażnienia, przeszedł pokój wzdłuż i wszerz, opierając się na łasce, siadł z miną wściekłą, jak gdyby postanowił milczeć, a potem nagle zdecydował się i przemówił:

— Panie prezydencie, pierwsza osoba, która wejdzie do tego biura, to będzie ta właśnie, której aresztowania pan żąda... wbrew mojej woli; zależy mi na wyraźnym stwierdzeniu tego.

— Już tylko piętnaście sekund, panie Lenormand!

— Gourel... Diensy... pierwszą osobę... nieprawdaż, panie prokuratorze naczelny, pan był łaskaw położyć swój podpis?

— Już tylko dziesięć sekund...

— Panie prezydencie, proszę niech pan będzie łaskaw zadzwonić.

Valenglay nacisnął dzwonek.

Wózny stanął w progu, czekając.

Valenglay spojrzał na szefa.

— Panie Lenormand, czekają na pańskie rozkazy. Kogo każeś pan wprowadzić?

— Nikogo.

— Ależ gdzież ten łotr, którego przyaresztowanie pan nam obiecał? Sześć minut dawno minęło.

— Prawda, ale łotr jest tu.

— Jakto? Nie rozumiem... nikt nie wszedł przecież.

— I owszem. Wszedł.

— Cóż to takiego?... jakież to... Panie Lenormand, pan sobie z nas żartujesz... Powtarzam panu, że nikt nie wszedł.

— A ja panu powtarzam, panie prezydencie, że wszedł ktoś.

— Ależ kto u licha?

— Było nas czterech w tem biurze, teraz jest nas pięciu. Wynika z tego, że musiał ktoś wejść. Valenglay podskoczył.

— Cóż to? Ależ to szaleństwo!... jak to!... pan chcesz powiedzieć...

Dwaj agenci wsunęli się pomiędzy drzwi a wózny.

Pan Lenormand zbliżył się do wóznego, dotknął ręką jego ramienia i przemówił głosem silnym:

— W imieniu prawa Auguste Filipe Dailleron, starszy wózny w prezydenturze ministerium, aresztuję ciebie.

Valenglay wybuchnął śmiechem.

— A to dobre!... doskonale... To mu się udało... Ten paradny Lenormand, miewa pomysły! Bravo, panie Lenormand, dawno się tak nie uśmieiałem!

Pan Lenormand zwrócił się do naczelnego prokuratora.

— Panie prokuratorze, proszę niech pan nie zapomni wypełnić na dekrete zawodu tu obecnego Dailleron'a, dobrze? Starszy wózny w prezydenturze ministerialnej!

— Ależ tak... ależ tak... starszy wózny... w prezydenturze... — bełkotał Valenglay, trzymając się za boki. — Ten pocziwy Lenormand robi genialne odkrycia... publiczność domaga się aresztowania... ot, macie... on jej rzuca na pastwę... kogo?... mojego starszego wóznego... Augusta... wzorowego sługę!... Już to prawda, panie Lenormand, ja wiedziałem, że pan posiadasz sporą dozę fantazyi, ale nie przypuszczałem, ażeby aż do tego stopnia!... Co za pomysł!...

Od początku tej sceny August ani drgnął, zdawało się, że nie rozumie nic z tego, co się naokoło działo. Zdumienie malowało się na pocziwej twarzy o wyrazie lojalnego, wiernego sługi. Spoglądał kolejno po twarzach obecnych, siłąc się widocznie na zrozumienie znaczenia ich słów.

Valenglay zbliżył się doń.

— Przepraszam cię bardzo, mój pocziwy Auguste, to mała zabawka, którą sobie urządził pan Lenormand... Pośmiejesz się z nami...

Może i prokurator naczelny, może i prefekt policyi, może i ci także się śmiali. Ale p. Lenormand nie tracił właściwej sobie powagi.

Przemówił coś do Gourel'a, który wyszedł, a potem głośno zwrócił się do Diensy'ego:

— Uważaj, mój kochany i gdyby się tylko poruszył, bierz go natychmiast.

I znowu zwrócił się do pana Valenglay:

— Panie prezydencie, poproszę pana o parę minut uwagi... Niech pan będzie łaskaw usiąść, proszę pana, panie prezydencie... Pozwoli pan, że odeknę trochę okno... tu trochę za gorąco... Dziękuję bardzo, panie prezydencie! A teraz w kilku słowach... Od roku, to jest od czasu, gdy dzięki panu, zajmuję moje stanowisko, traf... a także moje poszukiwania dostarczyły mi materiału, dotyczącego osoby Lupina i dawnej organizacji jego szajki; nie badałem tych materiałów, ponieważ Lupin siedział cicho, ale zbadałem je i uzupełniłem, od czasu gdy zaszła sprawa w Palace-Hotel i ośkąd Lupin stanął znów do walki.

Valenglay siedział, poskramiany spokojem pana Lenormand. Ten zaś mówił dalej.

— Wynika z tych niewątpliwych informacji, że szajka Lupina składała się — składa właściwie... z dwojakiich elementów. Najpierw należą do niej czynni współnicy — są oni nieliczni — może ich być z piętnastu albo ze dwudziestu. Są to adjutanci Lupina. Ci podróżują... działają... spełniają czyny... narażają się osobiście. Lupin im powierza, czy też udaje, że im powierza, najtajniejsze swoje zamysły. Dzieli się z nimi ukradzionymi pieniędzmi, łupem —